

TERESA GAJKOŚ-CHOJNACKA

ur. 1951; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Warszawa, PRL
Słowa kluczowe	PRL ; Lublin ; Warszawa ; ulica Dąbrowskiego ; ulica Plażowa ; ulica Podzamcze ; nauczyciele ; nauczyciele z Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie ; Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie ; szkolni koledzy ; wycieczki szkolne ; edukacja ; szkolnictwo ; anegdota ; Brama Grodzka ; Dom Kultury FSC ; kino Przyjaźń ; szkoły muzyczne ; wykształcenie muzyczne ; Estrada Lubelska ; Bagiński, Sławomir ; Bałdyga, Janusz (1954-) ; Baranowski, Eugeniusz (1916-1988) ; Cwalina, Andrzej (1954-) ; Duma, Leszek ; Gul-Olszewska, Blanka (1938-2016) ; Gutowski, Jerzy ; Kot, Zbigniew ; Kutyna, Krystyna ; Mielezko, Sławomir (1938-) ; Orzechowska, Grażyna ; Taczanowska, Wanda (1906-1982) ; Zarzycka, Ewa (1953-)

Teresa Gajkoś-Chojnacka - całość relacji świadka historii

1. Edukacja

Nazywam się Teresa, z domu Gajkoś, po mężu Chojnacka. Urodziłam się w 1951 roku, w Lublinie. [Do szkoły podstawowej] na [ulicy] Narutowicza chodziłam cztery lata, a potem V, VI, VII klasa [w szkole podstawowej] na [ulicy] Plażowej. [Najpierw podstawówka była na ulicy] Narutowicza 32, potem przeniesiono całą szkołę do [szkoły numer] VII, bo wybudowali „siódemkę” na Plażowej. [Liceum] Plastyczne, najlepsze liceum w Lublinie! Dlaczego tutaj? Rodzice stwierdzili, że zawód plastyka to zawód niepewny. Pierwszy rok przyjmowali w technikum kolejowym, a sąsiadka, która pracowała na kolei powiedziała: „To będzie dobry zawód dla niej”. Wychowawca nie chciał mi podpisać zaświadczenia do jakiej szkoły zdaję. Mówi: „Co, będziesz gwizdać na pociągi?”. No i zrobiłam zgodnie z wolą rodziców. Tam zdałam egzamin, nie dostałam się do technikum kolejowego. Kuratorium przydzieliło mnie do technikum mechanicznego. Jak pan dyrektor powiedział, że będę mieć prawo jazdy na traktor to rozplakałam się i nie poszłam wcale do szkoły. Po roku złożyłam papiery do mojego ukochanego Liceum Plastycznego, przyszłam na egzaminy – zdałam, i byłam. Miałam roczną przerwę [w edukacji], ale ponieważ jestem z końca roku, więc nie byłam, że tak powiem, najstarsza w klasie. Nie było

klasy A, B, C, ponieważ to był rok, kiedy weszły ośmioletnie podstawówki. I przez rok miało nie być w ogóle klasy w szkole plastycznej, bo szkoła była pięcioletnia, ale w końcu chyba Wydział Kultury, czy Ministerstwo Kultury zdecydowało, że będzie taki rocznik i to była pojedyncza klasa. Pamiętam, że jak wyszła książka taka, którą chyba Sławek Bagiński redagował, to okazało się, że ja nie byłam w tej klasie. Dostałam tę książkę od niego i mówię: „Co to jest?”. „Jezu, Teresa, nie wpisałem cię!”. Tak, że w książce o szkole plastycznej mnie nie ma.

2. Egzamin do Liceum Plastycznego

Oczywiście, na egzamin spóźniłam się godzinę, bo pokręciło się mi coś z zegarkiem, potem musiałam nadrabiać, ale nie było problemów. [To był egzamin] praktyczny, bo był rysunek, potem trzeba było coś namalować. Egzamin z rysunku to pamiętam – był wiersz, który trzeba było zilustrować. Tam było coś o orszaku konnym, więc ja ten orszak narysowałam. No i zdałam. I dostałam się do szkoły. Pamiętam, [na egzaminie była pani] z polskiego, to była pani Baranowska – polonistka, która potem uczyła nas rosyjskiego też. Pamiętam profesora Baranowskiego, który potem uczył rzeźby. No była Blanka Kul-Olszewska, która potem była moją wychowawczynią. Najbardziej przestraszyłam się pana, nazywał się chyba Simonowicz. On był palaczem, a tak krzyczał, że ja myślałam, że on jest dyrektorem szkoły. Jak przyszedłam na egzamin. Był pierwszą [osobą], z którą miałam styczność, bo spóźniłam się na egzamin. I on mnie tak ochrzanił, że po prostu, myślałam, że to sam dyrektor. No i tak to wyglądało.

3. Koledzy ze szkoły

Dobek Bagiński, Krysia Kutyna, Zenka Góra, Haluśka Andraszkiwicz, Joasia Walczewska, Leszek Duma, no trochę nas było. Potem sporo wykruszyło się, podczas tych pięciu lat. Maturę niewiele osób zrobiło, kilkanaście z nas. Najśmieszniejsze było, że do klasy chodził Zbyszek Kot – świetny grafik. Mieszkał tu po przeciwnej stronie i codziennie spóźniał się do szkoły. Nie mógł zdążyć. Zbysio Kot – wieczny spóźnialski.

Zarzycka coś tam w Kazimierzu robi, Jasiek Bałdyga, ten młodszy, też coś tam robi, no Sławek Bagiński to różnie, bo on tak: raz przy zawodzie, raz obok zawodu. Z tego co widzieliśmy się parę ładnych lat temu, to ołtarze jakieś do kościoła robił. Krysia to wiadomo, fotografię wykładała – Krysia Kutyna, czyli Bagińska, bo to małżeństwo klasowe było. Myśmy potracili kontakt, bo właściwie w naszej klasie z Lublina to było niewiele osób. To była zbieranina z Polski – z Siedlec, z Łukowa, nawet u nas w klasie była dziewczyna z Łodzi. Tak że, wiem że Leszek Duma gdzieś tam we Francji coś robił. Potem uczył w szkole. Andrzej Cwalina to wprawdzie nie z mojej klasy, ale też trafił z powrotem jako nauczyciel do szkoły. Grażyna Orzechowska, która była o

rok wyżej, a potem żeśmy studiowały razem w Warszawie, tylko ona była na grafice. Wiem, że potem nawet panią dyrektor szkoły była tutaj. Słomianowska, Grabowska... - no to wszystko rozproszyło się po Polsce. I był taki okres, że ja bardziej siedziałam w środowisku muzycznym, niż plastycznym. Tak to wyglądało.

4. Nauczyciele w Liceum Plastycznym

Historię sztuki miałam z panią Wandzią Taczanowską, przeuroczą panią profesor. Rysunek, malarstwo miałam z Blanką Olszewską, rzeźbę miałam z panem Baranowskim, kompozycję – bo jest coś takiego jak kompozycja plastyczna – miałam z panem Mieleszko, obecnym dziekanem. Biologię miałam z panem Gąsiorowskim, historię z panem Juszczyńskim. Wszyscy [pracują] na UMCS. Po naszej klasie właściwie prawie wszyscy nauczyciele odeszli i poszli na UMCS, byli wykładowcami, bo przecież i Blanka była, i Mieleszko był chyba nawet dziekanem Wydziału Plastycznego UMCS. No, kto tam jeszcze nas uczył... No była też pewna pani matematyczka, która niestety, przez nas wylała morze łez. Z matematyką to tak: na początku uczył nas pan Żwirkowski – starszy, przedwojenny pan, który kłaniał się uczennicom, zdejmując kapelusz tak od tyłu i mówił: „Dzień dobry paniom!”. Chodził po klasie, oczywiście miał zawsze ławki wysmarowane kredą, więc tu cały garnitur był biały. Zawsze wisiała mu na plecach jego karykatura. On nic nie widział, bo jak pisał na tablicy i mówił o matematyce, to po prostu klasa nie istniała, w klasie działały się cuda. No ale on odszedł na emeryturę, więc nam przydzielono, nową panią profesor. Nie chcę wymieniać nazwiska. Pani Profesor była prosto po studiach, była bardzo ambitna. To już była trzecia klasa. Stwierdziła, że jesteśmy głąby totalne matematycznie, że musimy wszyscy mieć korepetycje. Jak się potem okazało, korepetytorem był mąż pani profesor, no ale ponieważ miałyśmy pomysł, więc jedną z koleżanek żeśmy wytypowały na poderwanie pięknego. Poderwała, a jakże. Jak przywitała się z „panem pięknym” na ulicy na „ty”, to skończyły się korepetycje z matematyki. No i potem jeszcze była taka sprawa, że pani powiedziała, że my śmiejemy się na jej widok ironicznie, a jak ona wchodziła do klasy, no to klasa wstawiała grzecznie: „Dzień dobry, Pani Profesor”. I poszła na skargę do dyrektorki. Pani Dyrektor powiedziała, że rozwiąże klasę, rozgoni nas po Nałęczowach i Zamościach, mamy ją szanować. No jakoś udało się pani przetrwać z nami dwa lata, i w V klasie sprowadzono matematyka dla naszych geniuszy matematycznych. To był pan Zyr, on chyba był z VII Liceum, chyba tam z [ulicy] Farbiarskiej. Stwierdził, że jesteśmy totalne głąby, on już nic nas nie nauczy, tylko będzie nas uczył rozwiązywać zadania i żeśmy cały rok rozwiązywali zadania. I dzięki niemu myśmy tę maturę z matematyki zdali, no nie wszystkie takie głąby były w klasie, bo Zenka Góra była dobra z matematyki i jeszcze parę innych osób. Po prostu, wszyscy zdaliśmy maturę z tej matematyki. Tak to wyglądało.

Pani Taczanowska... starsza, siwa pani, twarz jak z holenderskiego obrazu. Zwykle

gasło światło, były wyświetlane slajdy i opowiadała, i myśmy po ciemku robili notatki. No takie spokojne zajęcia, bardzo spokojne. Była pewna pani historyca, która spadała z tych schodów. Mieliśmy kolegę w klasie, który zjeżdżał na ciapach ze wszystkich schodów, z pierwszego piętra. Po prostu jechał jak po ślizgawce. No i on przejechał przed panią, nie chcę wymieniać nazwiska, panią historyczką, ona nas nie uczyła. Zjechał na tych schodach, ona chodziła zawsze z pękiem kluczy i w pewnym momencie słyszymy jak ten pęk kluczy leci po schodach. Razem z panią.

Pan Baranowski też był pan, że tak powiem, już leciwy wiekiem, on już chyba po naszej klasie... A nie, on już nawet w trakcie [naszej edukacji], bo potem pan Mieleszko przejął rzeźbę po panu Baranowskim. On mieszkał na terenie szkoły. Po prostu schodził i żeśmy rzeźbili w tej glinie. Ale był przeuroczy, zawsze nas chwalił, jakie to my mamy ładne pomysły. Ja go tak zapamiętałam. Nie byłam w tym jego mieszkanku, no ale sale pamiętam jak siedzieliśmy na lekcjach i z klasy do klasy [z sali do sali] inna klasa przechodziła na inne lekcje, bo trzeba było przejść.

Pamiętam lekcje z panem Gąsiorowskim, który uczył nas biologii i higieny, tak to się nazywało. I była to zawsze pierwsza lekcja, on miał sprawdzić listę, sprawdzić tarcze i kołnierzyki. No to ja siedziałam w ostatniej ławce, mówię: „Będzie wpisywane” – to szybko, pierwszy lepszy zeszyt i raz miałam kołnierzyk w linie, raz miałam w kratkę. Pan profesor czyta listę: „Gajkoś, kołnierzyk, aha, dzisiaj w trzy linie”. Potem spotkałam go po latach. On był wykładowcą na UMCS naszym i robił mi masaż kręgosłupa. Miałam potworne bóle głowy i ktoś powiedział mi, że jest taki świetny pan, który wie jak zrobić, żeby ta głowa nie bolała. I trafiłam do niego na [ulicę] Skłodowską, patrzę, pan profesur! A mówi: „Moja uczennica!”. On tak rozmasował ten kręgosłup, do czerwoności, ale naprawdę przeszły mi bóle głowy. On zajmował się trochę zielarstwem, robił jakieś kompozycje ziołowe, zresztą mnie też dał taką kompozycję ziołową, żebym to popiła przez jakiś czas. Tak, oj tak to wyglądało.

Blanka była niewiele starsza od nas, bo ona przecież przyszła po studiach. Myśmy byli jej pierwszą i jedyną klasą, jak potem okazało się, której była wychowawczynią. No był taki trochę przykry incydent. Ja jej dużo zawdzięczam, bo w trakcie matury zmarła moja mama, na zawał serca. Już tam został chyba nie wiem, jeden egzamin. Ja miałam trochę inne plany, bo chciałam iść studiować do Krakowa. No ale myślę se: jak mama zmarła, jeszcze miałam młodszą siostrę i młodszego brata, no to mówię pewnie nigdzie już nie pójdę na żadne studia, trzeba będzie zająć się rodzeństwem, pomóc ojcu. No i Blance dużo zawdzięczam, że po prostu powiedziała: „Słuchaj, nie możesz wszystkiego przekreślać, ty niewiele zmienisz, a po prostu musisz iść na te studia!”. No i pojechałam do Warszawy i dostałam się za pierwszym razem, gdzie ludzie zdawali po dziewięć razy.

Po prostu był plan lekcyjny taki jak większość planów lekcyjnych, tylko różniło się może trochę, bo na przykład tam był polski, bo to był program normalnego liceum, plus przedmioty plastyczne. I na przykład był polski, matematyka, historia i przypuścmy cztery godziny rzeźby. Albo, nie wiem, biologia, geografia. Pół na pół.

Przeważnie mieliśmy po osiem lekcji. Tutaj jak się nie zdało z polskiego, to żeby się było najlepszym plastykiem to niestety. Po prostu przedmioty były traktowane jednakowo.

5. Taki był urok tej szkoły

Ciemno, ciasno. Jeden drugiemu na głowie stał, bo jak na dole, w pierwszej sali po lewej był rysunek i malarstwo, wchodziło się, rozstawiło te sztalugi, te deski, no to prawie jeden na drugim stał, bo to było naprawdę ciasno. Ale tak jak potem zrobiliśmy sobie zjazd po dwudziestu latach po maturze, potem po dwudziestu pięciu i byliśmy zaproszeni do szkoły na ulicy Plażowej, której myśmy nie doczekali, bo co roku mieliśmy mieć nową szkołę, ale myśmy nie doczekali, to ja odniosłam ważnienie, że cały nastrój, cały urok to właśnie była ta szkoła [w Bramie Grodzkiej]. Ciemna, ciasna i z tymi nauczycielami, których wtedy mieliśmy.

Był incydent, to co dzisiaj jest ponoć w szkołach normalne, ale zdarzyło się jednej dziewczynie zająć w ciążę, w V klasie została relegowana ze szkoły. Przed maturą. Wszyscy stali na apelu i krzyczeli: „Hańba!”. Takie były czasy. Pani nauczycielka kazała krzyknąć: „Hańba!” za ciążę.

6. Tarcze z logo szkoły były obowiązkowe

[Przy wejściu do szkoły] wisiał szyld „Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie”. Schodziło się na dół, do pani Tatarowej. Pani stała przy wejściu i sprawdzała tarcze. [Tarcze były] obowiązkowe! Tutaj była paleta, pędzle położone przez paletę i było napisane PLSP Lublin. No i pytali się czasami z innych szkół co to za skrót, więc myśmy wymyślali różne, nazwy tej szkoły – tylko nie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych. Kolor tarczy był czerwony, były żółte litery. Mam taką tarczę w domu. Żółte litery, żółta paleta i potem jeszcze doszły obowiązkowe berety – czarne, zamszowe. Takie na pół głowy i dziewczyny, i chłopaki musieli nosić. Obowiązkowo. Fartuchów żeśmy nie nosili, bo obowiązkowy strój to był biały kołnierzyk, coś granatowego i dół granatowy. No to tam do swetra przyszywało się tarczę, ale mało kto przyszywał. Były na szpilki, no i odbywały się takie numery, że pani szatniarka przechodziła sobie po szatni, sprawdzała, które [tarcze były] na szpilki to były wycinane dziury w ubraniach, żeby już tę tarczę przyszyć, to żeby jej nikt nie zdjął. Ja miałam przyklejoną na butapren, bo dostałam skórę w prezencie! Nie umiałam w ogóle w tym chodzić, nie wiem co mamie odbiło, że taki płaszcz skórzany, i mówię jak do tego przyszyć, on taki ze świńskiej skóry, taki gruby, taki ciężki. Przykleiłam na butapren i było dobrze.

7. Karą za palenie papierosów było picie tranu

Ubikacje nie były koedukacyjne. Była oddzielna damska, oddzielna męska. Nasza była, jak schodziło się do auli, tam po przy schodkach, po lewej stronie. Aula to była sala nad bramą. Ubikacje były oddzielne. Była kara za zapalenie papierosa – picie setki tranu. Ja nie paliłam, ale koledzy tak. Wypadaliśmy wszyscy pod zamek i kto tam palił, to szybko tego papierosa, a jak wchodziło się do szkoły to nauczyciel oczywiście od razu wyczuwał. I było: „Proszę bardzo, seteczka tranu, za zapalenie papierosa”.

Myśmy musieli być w domu o dwudziestej drugiej! Ja zaczęłam śpiewać tu w szkole, a potem poznałam zespół i poszłam do Domu Kultury FSC, bo tam w ogóle działały wszystkie zespoły. Tam i Budka [Suflera] grała, i Jarek Kozidrak z Bajmu też miał tam swój zespół z mężem Beaty Kozidrak, z Andrzejem Pietrasem. Wszyscy zaczynali w Domu Kultury FSC, bo to był najbogatszy dom kultury w Lublinie. Sprzęt był za darmo, wszyscy muzycy garnęli się tam. Było kino Przyjaźń, w którym można było robić próby do woli całe noce, ale oczywiście ja jako niepełnoletnia musiałam mieć na piśmie pozwolenie od rodziców i szkoła musiała się zgodzić. Takie były czasy.

8. Bibliotekarka, pielęgniarka i dentysta w Liceum Plastycznym

Była pani bibliotekarka, ale nie pamiętam jej nazwiska. Z książkami to było tak, że lektury wypożyczało się, a już jakieś książki o sztuce, to każdy chciał mieć swoją, to kupowało się. Nie było to tanie, ale kupowało się.

Była pani pielęgniarka. Ja tam gościłam często, bo dostawałam potwornych bólów żołądka, z nie wiadomo jakiego powodu. Przeszłam badania, nic nie znaleźli. Potem mi przeszło. Po prostu nieraz było tak, że w trakcie lekcji dostawałam takich skurczy żołądka, że musiałam iść, kropelki jakieś i czasami nic to nie pomagało, że mnie dwie osoby odprowadzały do domu skuloną, a mieszkłam na Konopnickiej, tu w centrum. Tak że, tak się nieraz kończyło. Ja myślę, że to było coś innego [niż nerwy]. Ja [byłam] niespotykanie spokojny człowiek, nigdy nie byłam nerwowa.

Do dentysty chodziliśmy do Trybunału. Tam były gabinety dentystyczne. Była łapanka, że tak powiem, z lekcji – „Ten i ten do dentysty! Do przeglądu, do wyleczenia. Obowiązkowo!”. Za moich czasów to ja remontów nie pamiętam. Nie pamiętam. To znaczy, była dokoptowana ta jedna sala, gdzie teraz jest galeria. To przebili mury i była dołożona jedna sala lekcyjna. To znaczy tam do zajęć plastycznych typu kompozycja, czy jakieś tam zajęcia graficzne, a tak to remontów większych nie pamiętam.

9. Dyrektorką Liceum była Halina Lipska

Przez pięć lat główną panią dyrektor była pani Halina Lipska. Zastępczynią była pani Wanda Taczanowska. Potem, już po naszym odejściu, to chyba nawet i Blanka troszkę dyrektorowała, tak mi się wydaje. No bo ja wyjechałam do Warszawy, no to

tutaj już miałam mały kontakt, a poza tym po tych moich szkołach wypadałam z rynku plastycznego, bo zaczął się epizod muzyczny w moim życiu i to trwało, prawie trzydzieści lat!

Dyrektorką była polonistka, która nie przepuściła nikomu! Zawsze mówiła: „Prędkiej kaktus urośnie mi na rękę, jak ty zdasz do następnej klasy!”. Wicedyrektorem przeważnie zawsze był plastyk, czyli pani Wanda Taczanowska, ona była historykiem sztuki więc, jakiś plastyk zawsze był wicedyrektorem.

10. W szkole działały zespoły muzyczne

Imieniem Norwida nazwali już tą nową szkołę, a wtedy u nas nie było nazwy, że Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych imieniem Norwida, po prostu było Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych. Odbywały się różne akademie, było sporo konkursów recytatorskich i innych, w których sporo osób z naszej szkoły brało udział. Działały tu zespoły muzyczne, które prowadził profesor Jerzy Gutkowski ze szkoły muzycznej. Ja też poszłam śpiewać. Pierwszy to był kwintet, gdzie żeśmy stały porozstawiane po sali i każda uczyła się swojego głosu. Potem powstał zespół. No właśnie Jarek Kozidrak grał, Andrzej Cwalina na perkusji. Po prostu to były szkolne zespoły. Śpiewało się z okazji różnych uroczystości, różny repertuar, który pan profesor wybrał. No i tak jak mówię, były lekcje umuzykalnienia z panem Szorcem, tak! Puszczaliśmy muzykę poważną, mówił nam różne anegdoty o kompozytorach dawnych. Trzeba było też śpiewać, na przykład „Maleńki znak” Ireny Santor, cała klasa. Miałam kolegę, któremu słoń na uszy nadepnął, powiedział: „On tego nie zaśpiewa!”. „To ty masz zaśpiewać!” – do mnie mówi, a ja mówię: „Ja też nie zaśpiewam!”. I ja, która miałam ponoć najlepszy słuch miałam dwóję z umuzykalnienia. No nie na okres oczywiście, ale miałam dwóję z umuzykalnienia, za to, że nie chciałam zaśpiewać. Pan Szorc jak chodził po klasie to zawsze jeździł rękami po klapach i opowiadał, i opowiadał, i te klapy były takie wyświecone, takie błyszczące. Miał taki dosyć tubalny głos, no mówię, był prelegentem w filharmonii, przy okazji dawnym skrzypkiem. Bardzo ciekawie prowadził nasz przedmiot i potem ten przedmiot zlikwidowali i ja uważam, że bardzo źle, bo już po naszej klasie nie było tego przedmiotu.

11. Materiały plastyczne, wystawy i stypendium

W szkole były coroczne wystawy, na które przychodziło, naprawdę sporo ludzi. I nasze najlepsze prace wisiały. Korytarze zawieszono całe, głównie rysunkami, malarstwem, ale też i rzeźbą, bo rzeźba była w piwnicy, schodziło się do piwnicy, tam były sale rzeźby. Różne kompozycje. Tak że były coroczne wystawy szkolne.

[Materiały] trzeba było samemu kupić. Szkoła dawała sztalugi, dawała deski do sztalug. Kupowało się papier pakowy, żeby było taniej i rysunki wszystkie, to

większość była na papierze pakowym, takim do pakowania paczek, w kolorze ugier, ulubiony mój kolor z tamtych lat... Nienawidzę uguru od tamtej pory! Z resztą wszystkie lamperie w publicznych toaletach były w kolorze ugier! Jasny bądź ciemny! No blejtramy, no to uczyliśmy się sami robić, więc sami sobie robiliśmy blejtramy. Kupowało się płótno, listwy, samemu się wycinało, robiło blejtram, gruntowało się samemu, gotowało klej stolarski. Po prostu dużo uczyliśmy się sami robić.

W szkole było stypendium, jak dobrze pamiętam coś około 260 złotych. No przypuśćmy pensja, taka przeciętna, to była coś powyżej tysiąca złotych. Od tysiąca do dwóch, bo było powiedzenie: „Czy się stoi, czy się leży dwa tysiące się należy”. Takie było w tamtym czasie powiedzenie. To było takie stypendium, że właśnie kupiło się książki, materiały. No nie wszyscy dostawali stypendium, bo to było troszkę takie socjalne, ale był też warunek – stopnie. Miałam raz zabrane stypendium, dzięki pani od fizyki. Jak spotkałyśmy się po latach mówi: „Widzisz, gdybyś zaśpiewała to może by tej dwójki nie było”. Pani miała system w pytaniu, uczyła nas fizyki i chemii. Wchodziła do klasy, otwierała dziennik, wyczytywała listę i według systemu pytała dwie, trzy osoby. A kiedyś nie było semestrów, tylko były tak zwane okresy. W trakcie okresu przeważnie każdy miał dwa stopnie: był jeden z pytania i jeden z klasówki. Rok szkolny był podzielony na cztery okresy, czyli po dwa i pół miesiąca. Co dwa i pół miesiąca była wywiadówka i każdy rodzic mógł se obejrzeć jakie postępy robi jego domowy artysta! O, jeszcze z mojej klasy Marek Strug, który zginął tragicznie. To też jakieś tam obrazy wystawiał. No i fizyka, i chemia była we wtorek, środę. Dzień po dniu. Jeszcze nie było wywiadówki, stopnie były już wystawione na okres, więc nie spodziewaliśmy się, że pani Załuskiej przyjdzie do głowy nas pytać. Pani Załuska przeczytała listę. Ja miałam lekko wymalowane rzęsy, bo makijaż był też zabroniony! No to popatrzyła na mnie, ja siedziałam przy jej stoliku, pierwsza ławka – „No to Teresa do odpowiedzi”. A ja mówię: „Która? Jest nas trzy” – „A ta co się pyta i ma rzęsy umalowane”. Mówię: „Pani profesor, dzisiaj jest pierwszy dzień nowego okresu, a właściwie to jeszcze nie, bo wywiadówki nie było. To ja chyba nie umiem” – „No to masz dwóję”, bo pały też nie było, tylko dwójka była najgorsza. No trudno. Przychodzę na następny dzień, to już jak Bóg przykazał, bez żadnego tuszu na rzęsach, takiego plutego – to się pluło w pudełko i nabierało, i tak się te rzęsy trochę podczerniało. Jest środa, pani profesor czyta listę i mówi: „No to Teresa do odpowiedzi”. No to ja już siedzę i oglądam się na Teresę Ferarius, a może Teresa Szczuka. Patrzę na nie, a pani profesor mówi: „Nie, nie. Ty!”. Ja mówię: „Ja wczoraj byłam pytana!”. A pani profesor mówi: „A ja dzisiaj też mam ochotę Cię zapytać”. A ja mówię: „To analogicznie jak wczoraj nie zajrzałam do książki”. Dostałam drugą dwóję i pani profesor mnie już przez cały okres nie chciała zapytać i dostałam lufę na okres! To była jedyna dwójka przez... podstawówkę, średnią szkołę, na okres. I to było tak, że nie dostało się pozytywnego stopnia na następny okres, jak nie zaliczyło się całego poprzedniego okresu, więc ja w trakcie okresu już zaliczyłam na czwórkę wszystko, jeszcze przed tym, ale mi pani wrębała dwóję, mówi: „To ja ci postawię na następny

okres czwórkę”. No i wtedy miałam na dwa i pół miesiąca zabrane stypendium.

12. Obozy szkolne i plenery

Awarii żadnej nie pamiętam, natomiast były fajne obozy. W wakacje. Szkoła organizowała obozy letnie. Kosztowały tak marne grosze, że każdego było stać. No i wycieczki oczywiście pod koniec roku, no bo jak były matury, no to trzeba było pozbyć się innych klas. No to był Kraków. Myśmy mieli kolegę, którego tata pracował na kolei, więc jeździliśmy koleją. Odczepiali nas na bocznicę i żeśmy w Krakowie stali na bocznicę, albo w Gdańsku na bocznicę, czy Bieszczady i zwiedzało się po prostu. Jeździliśmy na obozy. Za moich czasów to były głównie Mazury, bo to było Giżycko. Ja byłam w Giżycku, byłam w Mikołajkach, byłam dwa razy w Zakopanym, nasi profesorowie byli naszymi wychowawcami. To nie były plenery. Plenery to jeszcze była oddziela rzecz. Plenery były organizowane tylko w starszych klasach, wtedy od pierwszej klasy to nie miało się pleneru, ale już III, IV klasa to tak. Moja klasa była na plenerze na Węgrzech, w Szentendre pod Budapesztem, piękne prawda? No to właśnie myśmy byli na plenerze w Szentendre, a ja byłam z inną klasą, starszą, ale ponieważ trzeba było dobrać osób, to byłam na plenerze, wtedy jeszcze w Leningradzie, nie Petersburgu. Było tak zimno, że nikt nie malował, no ale żeśmy zwiedzali i w ogóle. Ja z moją klasą właśnie byłam w Szentendre, byłam na tygodniowym plenerze w Kazimierzu. Spaliła się ta nasza willa, w której żeśmy mieszkali wtedy jako klasa. Żeby zaoszczędzić pieniędzy na inne rozrywki, to żeśmy z dziewczynami cały tydzień kisiel jadły – na śniadanie cytrynowy, na obiad pomarańczowy, na wieczór wiśniowy. Tak że potem nie przyglądałam się na kisiel długo. Jako zorganizowana klasa to ja nie pamiętam, żebyśmy gdzieś tam chodzili na spotkania... Boże ja to, tak dawno o szkole nie rozmawiałam, że dziwie się, że jeszcze tyle pamiętam.

13. Kawały i żarty ze szkolnych lat

Pierwszy kwietnia – Prima Aprilis, więc ktoś z klasy wpadły na pomysł, żeby powiesić nauczycielom plakat, że jakby chcieli sobie dzisiaj pouczyć, to mają najbliższą szkołę w Nałęczowie, jak ktoś chce, to niech jedzie dalej do Zamościa. I powiesiliśmy taki plakat i staliśmy pod bramą, wyłapywaliśmy uczniów, którzy szli do szkoły i cała szkoła poszła na labę. Oprócz jednego kolegi, z mojej klasy. I cała szkoła miała obniżone sprawowanie. A on nie! No Walduś Skórko, niestety... Poszedł do szkoły jako jedyny pilny uczeń. To był taki chłopak, który zawsze wyrwał się: „Ja! Ja! Ja!”. On wszystko wiedział. On dojeżdżał pięćdziesiąt kilometrów do szkoły i jak mu szkoła załatwiała internat, żeby tu był na miejscu, no gdzież jeździć taki kawał, to on powiedział, że tam nie ma warunków do nauki i dalej dojeżdżał. Walduś był bardzo pilny. Nie wiem, on gdzieś w Gdańsku studiował, ale nie mamy żadnego kontaktu.

Danek Tramekurt, który se teraz „de” dołożył chyba, jest „Detramekurt”, miał czarne włosy, taką czarną czuprynę, solidną, a niestety włosy też trzeba było mieć regulaminowo przycięte, nie chodziło się w długich włosach. No i dyrektorka kazała mu obciąć te włosy. No to Danek poszedł na całość. Wziął się ogolił na łyso, przyszedł z ręcznikiem i sobie glansował głowę. Chodził po schodach i glansował głowę, żeby świeciła się ładnie. Co tam jeszcze było.... No z klasy to już pomijam. Ja mam koleżankę z mojej klasy, Ulę, która w ogóle notatki robiła z takich numerów. I ona ma zeszyty z takimi notatkami, między innymi z klasówki. Marek, jak była klasówka o bakteriach, o rozmnażaniu, no to Maruś napisał, że bakterie rozmnażają się na sianie. Tak że, no bardzo ciekawe były klasówki. Ula jest kopalnią tych anegdot, dlatego że ona wszystko spisywała. Ona była taka skrupulatna z zeszytikami, pisała małutkimi literkami i te zeszyty do dzisiaj ma.

14. Odwiedzałam koleżanki mieszkające w bursie

No chodziłam! Pierwsza bursa to była na Dąbrowskiego, taki stary budynek. No przecież moje najlepsze przyjaciółki, Halinka Andraszek i Zenia Góra, i Joasia Walczewska mieszkały w bursie. Musiałam przecież chodzić i odwiedzać koleżanki. Później bursa przeniosła się na [ulicę] Muzyczną, obok Plażowej. Tam tę bursę przenieśli. Były godziny, kiedy można było odwiedzać. Ja miałam trochę fory. Nie wiem dlaczego, ale potem podpadłam, bo kierownikiem bursy był pan, który uczył nas WOS-u, czyli nie wiedzy o sztuce, tylko wiedzy o społeczeństwie, co to trzeba było dzienniki oglądać i gazety czytać. Nie pamiętam jego nazwiska. Nie mogę sobie przypomnieć. Był dosyć zasadniczy. Wiem, że mu czymś podpadłam, tylko czymś takim błahym. No i powiedział mi, że: „Ja się tego po tobie nie spodziewałem”. Przecież jeszcze przysposobienie wojskowe było! Chodziliśmy strzelać z KBKS-ów, tutaj na Podzamcze. [Nauczyciel] to był wojskowy. Tylko też nazwiska nie pamiętam. Ze strzelania takie rozklekotane KBKS-y, co to trzeba było albo pod szczerbinką, albo nad szczerbinką, żeby trafić do celu. Pamiętam to przysposobienie wojskowe. A więcej szczegółów to już... Jakoś do tego nie przywiązywało się uwagi.

15. Chodziliśmy na targ, żeby malować martwą naturę

O, fajne były lekcje wyjściowe, na przykład z rysunku chodziło się na targ, na Podzamcze. Tam siedziały takie grube przekupy, takie prawdziwe, z tymi worami kartofli. Nie na Ruską, tylko teraz jak stoją te wszystkie piękne budki. To było ogromne targowisko. Tam jeszcze i drzewa rosły na tym targowisku i siedziały wiejskie panie, i nie tylko wiejskie, tylko takie handlary, które od lat siedziały na targu. Nie było ład, czegokolwiek, tylko stały wory z ziemniakami, z cebulą, ze wszystkim. Myśmy to rysowali, jako martwa natura. Nie wiem, może mam jeszcze te rysunki, bo po maturze Blanka nam poddawała rysunki z wystaw, z pięciu lat. I nawet oddała mi

mój rysunek z egzaminu do szkoły plastycznej. Ja straciłam rysunki przy przeprowadzce, bo miałam te wszystkie rysunki swoich kolegów, bo siebie rysowaliśmy nawzajem. No bo na modeli, to szkoły plastycznej nie było stać. Tak że jedna osoba zawsze była wytypowana do pozowania, a reszta rysowała.

16. Pan Simonowicz był palaczem w kotłowni

Do Simona do palarni, gdzie paliło się w piecu, chodzili chłopaki na palenie papierosów i nie tylko. No ale ja nie paliłam papierosów, do Simona nie chodziłam. Rządził równo. Był palaczem w kotłowni, bo tu jakaś kotłownia była i on był palaczem. Palił w piecu, żeby w szkole było ciepło. Szkoła była do którejś godziny zamknięta i albo on, albo woźna stali i sprawdzali te tarcze i czapki.

17. Okres studiów w Warszawie

Byłam na akademii, na architekturze wewnątrz. Na drugim roku ten wydział przemianowali na projektowanie plastyczne. Przeprojektowali na projektowanie plastyczne i głównie to było wystawiennictwo. Potem jeszcze była specjalizacja, bo to właściwie zaczynały rozwijać się pewne specjalizacje. Pamiętam było wystawiennictwo i meble, ja byłam na wystawiennictwie. Złożyło się tak, że potem, no naprawdę nie miałam kiedy mieć czasu z plastyką. Byłam w trakcie studiów na drugim roku jak zaśpiewałam w Opolu. To już jest inna historia jak tam trafiłam, reprezentowałam Lublin. Po Opolu dostałam natychmiast propozycję z Estrady Lubelskiej. Pamiętam żeśmy się skrzyknęli z muzykami tu z Lublina, którzy też w tym samym czasie zdali do Konserwatorium, czyli teraz Akademii Muzycznej. Wzięliśmy roczny urlop dziekański i żeśmy przez rok zarabiali w Estradzie pieniądze, żeby być bogatym studentem! Pojeździliśmy sobie, potem powracaliśmy z powrotem na studia. Ja tak z doskoku, jak miałam czas to jeździłam w Estradzie, w międzyczasie też wyszłam za mąż, urodziły się bliźniaki. Wszyscy wygrali zakład na studiach, bo było co się urodzi – chłopiec, czy dziewczyna. Nie było ultrasonografów, tylko pan doktor słuchał przez trąbkę... No to wysłuchał, że będzie chłopiec. No a był chłopiec i dziewczyna. Skończyłam [studia] i nie obroniłam się, bo wtedy dostałam jakąś taką propozycję „nie do odrzucenia” i myślę se: „Odłożę to na potem”. No i tak odłożyłam, że nie obroniłam się. [Studia były] pięcioletnie. W [19]76 roku urodziłam dzieci, zaczęłam w siódmym i właśnie wtedy dostałam jakąś propozycję zrobienia ogromnej scenografii i propozycję do jakiegoś takiego fajnego programu. Myślę sobie: „To poczeka”. No i tak poczekało. Potem koledzy do mnie dzwonili: „Teresa, nie wygłupiaj się, wracaj”. Zaczęłam robić dyplom i po prostu go nie skończyłam. Powiem tyle, że to był okres, kiedy taki był dziwny rok. Zaprzyjaźniłam się z prawdziwymi Warszawiakami. Natomiast wtedy było już dużo nowych Warszawiaków. I to byli ludzie, którzy wprost mówili: „Skąd jesteś?”. Ja mówię: „Z Lublina” – „A, to Polska B”.

I nie było takich przyjaźni, jak były przyjaźnie te lubelskie. Do dzisiaj przyjaźnię się z tymi rodowitymi Warszawiakami. Natomiast reszta też rozjechała się gdzieś. Z wykładowcami było podobnie. Był taki incydent, ale nie chcę o nim mówić. To była jakaś praca. Nazwisko pana pamiętam, to pamiętam, że chłopcy z roku powiedzieli: „Teresa, spuścić mu manto?”. No bo najpierw było: „Ach, pani po lubelskiej szkole!”. To lubelska szkoła wtedy była uważana za naprawdę bardzo dobrą szkołę plastyczną. „Och, jakie świetne prace!”. A potem inaczej potoczyły się rzeczy. Potem też doszło do takiej scysji mojej, bo mój promotor, profesor Karpowicz przeszedł w trakcie na emeryturę, jego asystent został promotorem. Nie chcę o tym mówić. Na mnie wtedy nikt takiego wrażenia nie zrobił.

Data i miejsce nagrania	2013-07-22, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Transkrypcja	Elżbieta Zabłocka
Redakcja	Dagmara Spodar
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"